

W nieskończoność

Napisał: Janusz Stasik

O godzinie szesnastej czasu pokładowego, trzysta dwudziestego dnia lotu powrotnego na Ziemię, postanowił po raz już nie wiadomo który wyjść na zewnątrz statku i ponowić próbę reperacji anteny głównej. Łączność z Ziemią stała się dla niego od dłuższego czasu koniecznością wobec coraz bardziej ogarniającego go niepokoju i coraz dokuczliwszej samotności. Stery dawno już oddał automatom, sam zaś pochłonięty był bez reszty dwiema sprawami – nawiązaniem łączności z Ziemią i przede wszystkim zmianami zachodzącymi we własnym organizmie.

Otóż podczas startu statku do drogi powrotnej z planety „A 84” nastąpiła awaria silnika. Spowodowane nią przebiecie grodzi osłonowej dawało przecieki promieniowania do kabiny statku, co prawda o małym natężeniu, ale było źródłem ciągłego napromieniowywania rakiety. Był to również główny powód uszkodzenia anteny. Początkowo brak łączności przypisywał zaburzeniom w przestrzeni kosmicznej. Niejednokrotnie już przytrafiało się, że na drodze fal radiowych stawały burze magnetyczne, duże skupiska meteorów czy po prostu bliskość mijanych właśnie gwiazd pulsujących, których nie zbadane dokładnie działanie nie tylko przerywało łączność, ale wręcz uniemożliwiało posługiwanie się całą aparaturą. Po takim spotkaniu pokładowe maszyny matematyczne, automatyczne pojemniki z pamięcią czy automaty sterujące trzeba było na nowo cierpliwie regulować i dostrajać.

Tak więc był od prawie już roku poddany stałej dawce promieni i nie miał łączności z Ziemią. Pierwsze objawy, takie jak łuszczenie się skóry, wypadanie włosów czy zaburzenia wzrokowe były niczym wobec szybko następujących zmian późniejszego okresu. Po dwustu dniach stał się już potworkiem z grubsza przypominającym człowieka. Całe ciało przeszło ogromną metamorfozę i właściwie tylko mózg, przynajmniej na razie, nie poddał się działaniom promieni. Ale odkrywanie w sobie coraz to potworniejszych narośli, guzów, wypustek, pseudokończyn w całości pokrytych grubym pancerzem chitynowym odbiło się na jego psychice. Pragnął łączności z ludźmi, bo samotność przy tych jego zniekształceniach stawała się nie do zniesienia.

Trzysta dwudziestego dnia lotu postanowił więc raz jeszcze obejrzeć antenę zewnętrzną, w nadziei, że znajdzie wreszcie przyczynę awarii. Aby wyjść na zewnątrz, w próżnię kosmiczną, nie musiał wkładać skafandra. Chitynowy pancerz bronił go bowiem znakomicie zarówno przed lodowatym zimnem, jak i dużym gorącem. Zresztą nie mieścił się już w skafandrze. Przytoczył więc butle z tlenem i po przypięciu liny asekuracyjnej rozpoczął długą wędrówkę do góry, wąskimi schodami, aż do hermetycznego luku, który był jednym z trzech wyjść z rakiety.

Pomimo uciążliwej wspinaczki z ciężką skrzynią narzędziową zupełnie nie odczuwał zmęczenia. Zauważył to już dosyć dawno. Na skutek zmian w organizmie nie tylko nie mę-

czył się przy nawet najcięższych pracach, ale nie potrzebował ani pożywienia, ani snu.

Jednym silnym szarpnięciem wprawił w ruch koło dociskające klapę luku. W następnej chwili pchnął ją lekko i ujrzał rozgwieżdżone niebo. Wokół panowała nieskończona ciemność, wzbogacona milionami większych i mniejszych światełek. Teraz, idąc po zewnętrznej powłoce statku na jego koniec, musiał szczególnie uważać. Antena była już w odległości najwyżej dwóch metrów, gdy nagle coś nim szarpnęło straszliwie, statek opadł, jakby wpadł do pustego komina, a on zawisł na chwilę na wyprężonej linie, a potem uprzytomnił sobie, że nie go już ze statkiem nie

łączy, że nie zatrzasnął klamry przytrzymującej linę.

Rozpaczliwie machał rękoma starając się zbliżyć do oddalającego się statku, ale były to daremne wysiłki. Błyszczący stalowo kosmolot oddalał się systematycznie, mała w oczach, by dosłownie po paru minutach zniknąć zupełnie w oddali.

* * *

Tlenu w butlach zostało na kilkanaście godzin. Ochłonawszy z wrażenia zaczął na zimno analizować sytuację. Statek najprawdopodobniej wróci na Ziemię. Automatycznie sterowany nie powinien już w tej drugiej części podróży napotkać żadnych trudności. Co prawda,



zostało jeszcze około czterech miesięcy lotu z szybkością światła, ale większa część uplynie na wyhamowywaniu statku. Tak więc wszystkie informacje zebrane skrupulatnie przez automatyczny pojemnik pamięci do momentu jego wyjścia ze statku na zewnątrz i nieprzewidzianej katastrofy dotrą na Ziemię. I to właściwie jest w tej długiej wyprawie najważniejsze. Długiej, bo podczas podróży w jedną i w drugą stronę mijają trzy lata czasu pokładowego, czyli trzysta osiemdziesiąt lat na Ziemi.

Tak więc o tę sprawę nie należy się martwić. Kłopot jest inny. Co się z nim stanie? Jest bez możliwości jakiegokolwiek łączności. Żeby choć był bliżej Ziemi i miał małe silniki korekcyjne, mógłby się pokusić o wejście na orbitę, z której już bez problemów by go ściągnęli.

Wszechświat wydawał mu się obcy. Na monitorach wszystko było jasne i zrozumiałe. Wystarczyło, że spojrzal i natychmiast wiedział; gdzie w danym momencie się znajduje. Natomiast teraz za żadne skarby nie mógł sobie przypomnieć mijanych układów gwiazdnych, nie mógł nawet stwierdzić, czy po wypadku trajektoria jego lotu nie uległa zmianie.

A może zerwać po prostu z twarzy maskę doprowadzającą tlen i natychmiast ze sobą skończyć. Mijały godziny. Oddychał coraz trudniej. Ciśnienie tlenu w butlach spadło poniżej krytycznego. Pędził z zawrotną szybkością, a ból w płucach wzrastał się coraz bardziej i bardziej. W pewnym momencie poczuł, jak ciśnienie rozsadza mu naczynia krwionośne w płucach. Będąc już na pograniczu omdlenia uparcie wpatrywał się w najjaśniejszy punkt nieba. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że jest to gwiazda Filaria. Po chwili i ona zgasła.

* * *

Budził się bardzo powoli. W pierwszym momencie odzyskiwania przytomności mógł tylko powiedzieć jedno. Jestem! Nie orientował się na razie, gdzie jest ani jaki jest. Czuł tylko, że istnieje. Zanim otworzył oczy, zaczęła działać pamięć. Przypomnił sobie moment katastrofy – jak wyszedł na zewnątrz statku, jak lina nie utrzymała go i statek oddalił się.

Następnie przypomniał sobie, jak w momencie, w którym tracił przytomność, miał przed oczami jaśniejącą gwiazdę. A może to jednak był sen?

Otworzył oczy. Wokół niego trwał niewzruszony Wszechświat. A więc jego organizm poddany długoterminowemu napromieniowaniu przystosował się do tych międzygwiazdnych warunków. I co dalej? Pędzi z ogromną szybkością zupełnie bez celu w niezrozumiałą dla człowieka nieskończoność. Pędzi stwór tylko w niewielkiej części podobny do człowieka. I jeżeli cokolwiek było w nim jeszcze ludzkiego, to tylko myślenie. W przypadku odnalezienia go przez inną cywilizację, dojdzie do tragicznego nieporozumienia. Nie będzie mógł nikomu zaprezentować prawdziwego ludzkiego oblicza. Były to jednak problemy mniej dla niego istotne. Jeżeli leci w kierunku Ziemi, to jest duże prawdopodobieństwo, że ujrzą go i uratują. Jeżeli wypadł z toru lotu i minie Ziemię, to zostanie wśród tych galaktyk do końca życia. I wtedy będzie bohaterem. To tylko ci astronauty, którzy wracają na Ziemię, powszednieją. Ich nazwiska idą w zapomnienie. Zastępują je inne. Ci, którzy giną bez wieści, stają się bohaterami. Było to jednak mało pocieszające.

Ogłoszą go bohaterem i też po jakimś czasie zapomną. W momencie, w którym on będzie gdzieś w kosmosie umierał, na Ziemi nie zostanie po nim najdrobniejsze nawet wspomnienie. Z tej prostej przyczyny, że w tym czasie, gdy on w ciągu kilkunastu lat przemierzy ogromną przestrzeń, na Ziemi będzie już inna epoka geologiczna. Miną miliony lat.

Coraz bardziej zatracal się w tych gigantycznych liczbach i odległościach. Coraz bardziej stawał się tym, co go otacza. Kosmos milczał, jakby urzeczony wtargnięciem człowieka, który bez lęku unosił się, zawieszony w próżni, i tylko nie można było się zorientować, czy to człowiek pędzi z taką ogromną szybkością, czy może ciała niebieskie pracowicie przemieszczają się z miejsca na miejsce po skrupulatnie od wieków wytyczonych im torach. W tym przerażająco ogromnym Wszechświecie, urzeczony jego groźnym pięknem, mknęło wielkie, tragiczne pytanie – dokąd i po co?